

# Gazeta benefisowa



WARSZAWSKI ZWIĄZEK  
BRYDŻA SPORTOWEGO

## Zapytajmy Arcymistrza

- odpowiada Julian Klukowski

**W**iemy, że jesteś zawodnikiem, który w ciągu swej kariery zdobył wiele międzynarodowych trofeów, a od wielu lat wg klasyfikacji WBF okupujesz pierwsze miejsce na świecie wśród seniorów. Interesują nas jednak szczegóły z Twojej kariery brydżowej, a może także z życia prywatnego. Chcemy bowiem w ten sposób uczcić zdobycie przez Polskę przed 50-ciu laty brązowego medalu na Drużynowych Mistrzostwach Europy 1963. Był to pierwszy medal, którzy Polacy wywalczyli na arenie międzynarodowej, a Ty byłeś jednym z medalistów. Przypomnijmy może pozostałych uczestników tej brązowej drużyny: Twoim partnerem był Zbigniew Szurig, Czesław Kuklewicz grał z Andrzejem Wilkoszem a Stanisław Bitner z Janem Jeżowskim. Niestety, z tego składu tylko Ty możesz świętować 50-lecie i z tej okazji obchodzić swój benefis, gdyż pozostali koledzy odeszli (poza niegrającym kapitanem - Selimem Achmatowiczem).

Tytuł tego wywiadu zapożyczyliśmy z rubryki brydżowej, jaką prowadził przez wiele lat w „Ekspresie Wieczornym”, a dołącznie w „Kulisach”, cotygodniowym dodatku do tego dziennika. Konwencję przyjęliście wtedy taką, że anonimowy dziennikarz zadaje pytania, a Ty na nie odpowiadasz, więc pozostaliśmy przy niej i dziś.

Może na początek odpowiedziałbyś na pytanie, które zadawano Ci już pewnie setki razy: Czy brydż sportowy jest sportem?

W gronie uczestników Grand Prix takie pytanie wydaje się retoryczne. Wątpliwości mogą mieć tylko ludzie niegrający w brydża sportowego. Oczywiście, że brydż jest sportem, jeśli tylko przyjmimy szeroką definicję jako porównywanie umiejętności i wyników w warunkach jednakowych szans, a nie ograniczymy się tylko do wysiłku mięśni. Powstała już zresztą Federacja Sportów Umysłowych, która organizuje swoje Igrzyska.

Kiedyś odwiedziłem w Mediolanie w hotelu Leonardo da Vinci mojego zmarłego przedwcześnie przyjaciela Zdzisia Ambrozia-ka, swego czasu czołowego polskiego siatkarza, a potem znanego publicystę i komentatora sportowego. Rezydował on w tym hotelu na stałe, gdyż grał wówczas w jednej z mediolańskich drużyn, a ja zamieszkałem w nim, bo brałem udział w turnieju „Trofeo Campari”, który tam się właśnie odbywał. I właśnie wtedy, w pokoju hotelowym ok. czwartej nad ranem przy czerwonym winie i proscuto doszliśmy wspólnie do wniosku, że brydż sportowy i siatkówka niczym się właściwie nie różnią. Wszystkie problemy, jakie omawialiśmy wskazywały na to jednoznacznie: umiejętność podniesienia się po porażce, atmosfera w drużynie, gwiazdorstwo pojedynczych członków drużyny, to że o wyniku drużyny nie decyduje postawa najlepszego zawodnika, tylko najsłabszego itd. Już wtedy udowodniliśmy niezbicie, że brydż sportowy jest sportem!

Po tej oczywistej konkluzji może opowiedziałbyś nam o początkach swojej kariery brydżowej.

Brydżem zainteresował mnie kolega szkolny Marek Jaroszewski, późniejszy prezes Polskiego Związku Tenisowego. U niego w domu grywaliśmy w „brydża łupanego”, nie mając większego pojęcia o tej grze. Dowiedziałem się wszakże, że jest klub brydżowo-bilardowy „Rozrywka” na ul. Waryńskiego w Warszawie i często zamiast do szkoły chadzałem pograć do klubu, a tornister czekał za kaloryferem na klatce schodowej. Jednak by zagrać w brydża trzeba było mieć 100 zł na wypadek ewentualnej przegranej, a takiej sumy na ogół nie miałem, więc zaczynałem od „grzybka” (stawka wynosiła 10 zł), żeby przy bilardzie zebrać „wpisowe” do gry. Jednocześnie w zaciszu domowym rozdawałem karty i licytowałem, rozgrywałem i wistowałem sam ze sobą. Te ćwiczenia, jak się okazało, poprawiły znacznie moje umiejętności i śmiało mogę polecić ten sposób początkującym



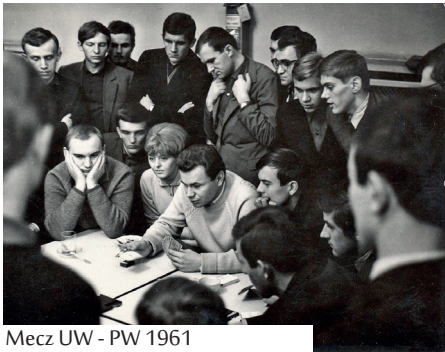
brydżystom. Jednak jakościowy skok nastąpił dopiero, gdy zainteresował się mną Zbyszek Szurig, który dostrzegł u mnie pewne zdolności i namówił na grę w brydża sportowego. Zbyszek był zaledwie o rok starszy ode mnie, ale był już studentem I roku matematyki na UW i członkiem sekcji brydżowej klubu „SDK Starówka”. Ja zaś uczęszczałem do 11-tej klasy Szkoły Ogólnokształcącej TPD III na Mokotowie i miałem w perspektywie maturę, a w planach studia medyczne. Ponieważ kilka razy w tygodniu spotykaliśmy się w Staromiejskim Domu Kultury w klubie „Largactil” i trenowaliśmy zawzięcie, moje plany stawały się siłą rzeczy coraz trudniejsze do zrealizowania.

Przyszła mi jednak z pomocą Olimpiada Matematyczna. Zacząłem bowiem rozwiązywać zadania, które były rozsyłane do szkół i krok po kroku awansowałem do kolejnych etapów tych zawodów. Gdy w efekcie znalazłem się w finale, wszyscy łącznie z naszą matematyczką, a przede wszystkim ja sam, uwierzyli, że mam zdolności matematyczne, które do tej pory były głęboko ukryte z powodu niefrasobliwego stosunku do nauki.

W szkole uzyskałem więc status „świętej krowy” jako, że finalistów Olimpiad mogliśmy policzyć na palcach jednej ręki, a matematyczka otrzymała nagrodę pieniężną „za



Znakomicie spisywał się na mistrzostwach najmłodszy członek polskiej ekipy, 21-letni Julian Klukowski.



Mecz UW - PW 1961

doprowadzenie swego ucznia do finału Olimpiady? Czy wypadało więc oblać na maturze chlubę szkoły? Ale najważniejsze, że uzyskałem możliwość studiowania na Wydziale Matematyki UW bez konieczności zdawania egzaminu, co skwapliwie wykorzystałem, porzucając myśl o medycynie.

I od tej pory mogłem pod kierunkiem Zbyszka doskonalić swoje umiejętności brydżowe. Bardzo szybko stałem się jego stałym partnerem, a nasza drużyna „Juwenia” zdobywała seryjnie Drużynowe Mistrzostwo Polski. Trudno było jednak godzić studia z wyczerpującym uprawianiem brydża. Np. zabawna historia (dodam, że to wydaje mi się zabawne tylko z dzisiejszej perspektywy) zdarzyła mi się przed egzaminem z algebry, który miał się odbyć w poniedziałek rano. W niedzielę wieczorem trenowaliśmy, jak zwykle, na piętrze Domu Kultury. W pewnym momencie zorientowałem się, że zrobiło się późno i wspominając kolegom o egzaminie, dałem sygnał do zakończenia gry. Okazało się jednak, że pilnujący obiektu „cieć” nie zauważył naszej obecności, zamknął klub na trzy spusty i poszedł do domu. Okna na parterze były zakratowane, zamki solidne, a nawoływania na pustym i ciemnym Rynku Staromiejskim okazały się klasycznym wołaniem na puszczy.

A więc chcąc, nie chcąc, wróciliśmy do gry i dopiero około siódmej rano, gdy zrobiło się widno, zaczęliśmy polować na pojawiających się przechodniów. Wszyscy oczywiście odżegnawali się od nas jak diabeł od święconej wody, ale trafili się dwaj patrolujący Rynek milicjanci, którzy zainteresowali się kilkoma młodymi ludźmi wołającymi o pomoc. Wysłuchali naszej historii, wynaleźli jakąś drabinę i pozwolili nam opuścić naszą pułapkę. Oczywiście wylegitymowali nas na wszelki wypadek, ale puścili wolno. Zdążyłem zatem pobiec na egzamin i zdać go na czwórkę. Nie zawsze jednak tak bywało i uzyskanie magisterium nieco mi się opóźniło.

**A opowiedz, jak to się stało, że tak młoda drużyna nazwana zresztą z tej racji „Juwenia” zaczęła odnosić tak wielkie sukcesy.**

Moim zdaniem główną zasługą była osobowość Zbyszka Szuriga, który już w wieku 19 lat był nie tylko w pełni ukształtowanym, doskonałym brydżystą, ale też znakomitym

teoretykiem. Zaproponował on nam grę systemem swego autorstwa, który i dzisiaj by się obronił. Był to bardzo nowoczesny, jak na owe czasy, system rozkładowy, w którym punkty grały rolę drugoplanową, a najważniejszy był układ. Był to co prawda system bardzo skomplikowany, ale częste treningi, które prowadził Zbyszek, pozwalały nam go w miarę opanować. Tak naprawdę to cały system perfekcyjnie znał tylko on, ja nieco gorzej, a reszta drużyny pamiętała wszystkie podstawowe sekwencje, a tych bardzo zawiłych starała się nie używać. Jednak przewaga tego systemu nad powszechnie używanymi systemami opartymi na Culbertsonie była tak wyraźna, że w licytacji zyskiwaliśmy znaczną przewagę.

Zbyszek zresztą dbał bardzo o maksymalne wykorzystanie karty, co bardzo ułatwiało rozkładowy system. Ustanowił on nawet następujące kary za niedolicytowanie końcówek

liśmy definitywnie supremację „starych”, czyli drużyny „Legionu” i zdobyliśmy kilka razy pod rząd Mistrzostwo Polski. A w „Legionie”, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, grały legendy polskiego brydża: Stanisław Bitner, Jerzy Czekański, Jerzy Elżanowski, Marian Frenkiel, Leon Grosfeld, Stefan Łowiński, Henryk Niedźwiecki, Aleksander Rozecki.

**Większość z nich to byli gracze jeszcze przedwojenni, więc i systemy stosowali pewnie na ogół przedwojenne.**

To prawda, używali głównie systemu Culbertsona, a Czekański tłumaczył nawet za granicznym przeciwnikom, że „my system is no system”. Warto może w tym miejscu przypomnieć młodszemu brydżystom sylwetkę Culbertsona, który był niezwykle postacią nawet jak na wysokie standardy, które wyznaczała cała plejada brydżowych mistrzów. Urodzony



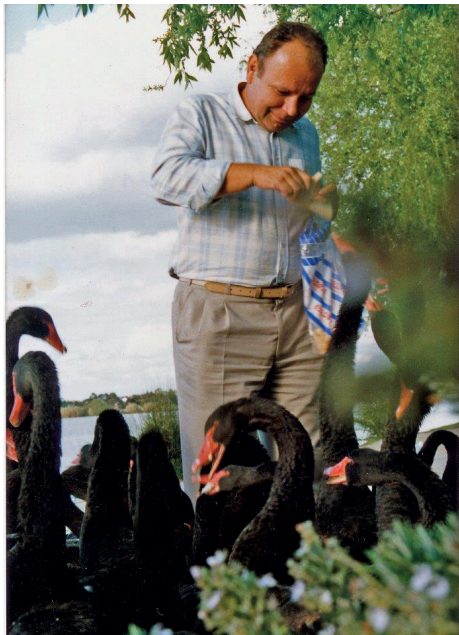
Mecz towarzyski Warszawa-Kraków 1995, w środku Jan Janowski, po prawej Gustaw Hołóubek - zawodnicy drużyny Krakowa

i szlemików w młodszy kolor. „Mały pieniążek” płaciło się, gdy przegrało się 3 bez atu, a wychodziła końcówka w młodszy kolor lub wygrało 3 bez atu, a wychodził szlemik w młodszy, a „Duży pieniążek”, gdy 3NT było przegrane, a wychodził szlemik w młodszy. Natomiast kar za przegrane końcówki i szlemiki w młodszy kolor nie było wcale! Nic więc dziwnego, że szlemiki aż śmigaly – nigdy potem nie grywałem tyłu szlemików w młodszy kolor co w czasach „Juwenii”.

Podstawowy skład „Juwenii” to oprócz Zbyszka i mnie, Selim Achmatowicz, Zbigniew Krogulski i Roman Szymczak. Bardzo często grywaliśmy „na dwóch obrotowych” tzn. ja i Zbyszek z różnymi partnerami i bardzo dobrze nam to wychodziło. W tym właśnie składzie zdobyliśmy w 1961 roku pierwszy srebrny medal w Drużynowych Mistrzostwach Polski, a w następnym roku, gdy doszli do nas Antoni Jaworski i Marek Kasprzak przełama-

w 1891 roku w Rumunii, szkołę średnią kończył w Moskwie, studiował w Genewie, Paryżu i w USA, mówił płynnie siedmioma językami, a po przyjeździe do Ameryki w r. 1921 zajął się propagowaniem brydża porównawczego, który dopiero raczkował w Stanach.

Zaczął najlepiej jak można, bo od ożenku z nauczycielką brydża Josephine, z którą w parze występował z powodzeniem w turniejach brydżowych. Stworzył pierwszy z prawdziwego zdarzenia system licytacyjny, a w 1929 roku założył miesięcznik „Bridge World”, który wychodzi do dzisiaj. Zaczął też pisać książki, które tłumaczono na wiele języków, m.in. polski. System Culbertsona wydany w Polsce przed wojną to dzisiaj „biały kruk” wśród książek brydżowych. Z żoną Culbertson rozwiódł się po kilkunastu latach pożycia (to się musiało tak skończyć, jeśli grał z nią w parze), a po kilku latach ożenił się po raz wtóry, tym razem z młodszą o 35 lat dziewczyną, której



Park Narodowy w Perth (Australia) 1989

nie zdążył nauczyć grać w brydża, gdyż niebawem umarł. Culbertson był oryginałem, który potrafił myśleć nad rozgrywką przez 45 minut, ale nie zmienia to faktu, że wytyczył kierunki i zdominował całą epokę przedwojennego brydża. Przepraszam za tę dygresję, ale musiałem oddać honor ojcu brydża porównawczego, dyscypliny, którą wszyscy przecież uprawiamy.

**Mieliście więc przewagę w licytacji. A co z umiejętnościami technicznymi, rozgrywką i wistem? Przecież „starzy” mieli to w małym palcu!**

Dzisiaj szkolenie młodzieży w Polsce stawiane jest na całym świecie za wzór. Zresztą wyniki naszych juniorów mówią same za siebie. Gdy na BBO obserwuję czasami rozgrywki i wisty 17-letniego Michała Klukowskiego (ustaliliśmy, że zbieżność nazwisk jest przypadkowa), to nie mogę wyjść z podziwu, kiedy zdążył on się tego nauczyć. Talent to jedno, a czas potrzebny do osiągnięcia takiej klasy, to całkiem inna sprawa.

My byliśmy po trosze samoukami, choć Zbyszek usiłował nas trochę dokształcać, opowiadając np., co to jest „pozycja Laventhalowa” albo „odwrócona rola dziadka”. Miło także wspominać nieżyjącego już od lat inż. Stefana Łowińskiego, dyrektora Departamentu Hutnictwa w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Był on znakomitym brydżystą i miał na szczęście, jak się okazało, żyłkę dydaktyczną. Żelazny, bo tak z racji funkcji w PKPG, zwali go koledzy, posiadał książkę Bertranda Romaneta „Le squeeze au bridge” i nie bacząc na to, iż dokształca konkurencję, zaczął zapraszać młodzież na wspólne jej studiowanie. Wczesnym wieczorem przemycaliśmy się więc do gmachu zwanego wówczas „Mincówką”, informując portierów i strażników, że idziemy na lekcje brydża. I przez jakiś czas to się udawało, dopóki jakiś wysoko postawiony stróż moralności nie ukrócił tego „kartograjstwa”. W „Mincówce” otworzyły mi się oczy na bo-

gactwo przymusów, bo o niektórych nie miałem pojęcia. Wtedy też wykuwały się niektóre polskie nazwy tych przymusów: podwójny, atutowy, kaskadowy itp.

A propos młodzieży, to warto przypomnieć o meczach UW – Politechnika Warszawska, które studenci obu uczelni rozgrywali co roku. UW z reguły je wygrywał, a trzonem naszej drużyny oprócz Zbyszka i mnie byli Jola Krogulska i obaj Ramerowie, Artur i Aldek, wszyscy zresztą studenci matematyki. Wiele lat potem brałem udział w towarzyskich meczach Warszawa-Kraków, w których oba miasta reprezentowali politycy, dziennikarze i sportowcy. Np. w reprezentacji Krakowa grali m.in. Jan Janowski rektor AGH i wicepremier w rządzie premiera Mazowieckiego, a także Gustaw Holoubek, którego przedstawiać nie trzeba. Gdy spotykałem go potem przy różnych okazjach (na ogół na premierach teatralnych), poznawał mnie bez trudu, witaliśmy się serdecznie i zwracaliśmy się do siebie per Mistrzu!

**Powróćmy jednak do Twojej młodości. A więc nauczyłeś się już licytować, rozgrywać i wistować i zostałeś Drużynowym Mistrzem Polski w latach 1962 i 1963! Najwyższy więc był czas wyruszyć na międzynarodowe szlaki.**

Trochę zagranicy już liźnałem, bo wiem bywaliśmy na turniejach w Tichany nad Balatonem i w Karłowych Warach (do dziś okazała Wazę Balatonu mam w kolekcji pucharów i medali), ale w oficjalnych Mistrzostwach Europy, nie mówiąc o imprezach ogólnosiatawowych, reprezentacja Polski nie brała udziału. Rozgrywki kadry narodowej wygraliśmy ze Zbyszkciem w cuglach, ale wszystko wskazywało, że i tym razem nie dostaniemy pozwolenia na start w Mistrzostwach Europy, które w roku 1963 miały się odbyć w Baden Baden. Przede wszystkim problemem było uiszczenie dość wysokiej składki do Europejskiej Ligi Brydżowej, nie mówiąc o kosztach wysłania reprezentacji. Nie wiadomo, czy GKFiT wysupłał w końcu te dewizy na składkę, czy też władze EBL zwolniły nas z wpłaty, w każdym razie wyjazd stał się nagle realny. Dostaliśmy bowiem paszporty sportowe i nic tylko jechać i grać. Pozostał jeszcze tylko problem za co? Wtedy wolno było wywozić z Polski tylko po 5 dolarów na głowę, więc robiliśmy jakieś zawile kombinacje finansowe związane z zaplaceniem pobytu, ale przede wszystkim zmuszeni byliśmy przemycić po 100 marek, by mieć na wstępne ruchy. Mieszkaliśmy więc w pensjonacie usytuowa-

nym między torami kolejowymi a autostradą, bo tylko na taki mogliśmy sobie pozwolić. Noce więc były koszarne. Ale za to niedaleko był miejski basen, na którym było już całkiem cicho, więc przed południem podsypialiśmy nieco pojadając, zanim jeszcze Małysz spopularyzował tę dietę, bułki z bananem i pijąc soki owocowe. O pójściu do jakiegokolwiek restauracji nie było mowy, ale mieliśmy ze sobą weki i konserwy zabrane z Polski, więc kolacje były bardziej treściwe.

W tych warunkach zdobycie brązowego medalu graniczyło z cudem i tak też było potraktowane przez prasę brydżową.

**A jak Niemcy traktowali Was- przybyszy z za żelaznej kurtyny?**

Wśród kuracjuszy i mieszkańców Baden Baden budziliśmy raczej niezdrawe zainteresowanie, a my będąc pierwszy raz na Zachodzie, z ciekawością spoglądaliśmy na ten „zgniły kapitalizm”. Ponieważ wspomnienia wojenne były jeszcze całkiem świeże (upłynęło



1985 Bal sportowców w Słupsku - Irenka Cieślak w parze z Julianem Kukowskim (najwyższa siatkarka ligi 203 cm wzrostu). I miejsce w konkursie tańca.

zaledwie 18 lat), patrzyliśmy podejrzliwie na każdego Niemca po czterdziestce i wyobrażaliśmy sobie, co robił przed laty. Niemcy natomiast dzielili się na dwie kategorie: jedni, najwyraźniej z kompleksem winy, próbowali nam wetknąć ukradkiem po 5 marek, a inni przechodzili na nasz widok na drugą stronę ulicy.

Tak czy owak żadne przyjaźnie się nie zadziejęnęły może po trosze dlatego, że młodzieży w tym kurorcie prawie nie było, a dominowali raczej emeryci. Również organizatorzy nie potraktowali nas zbyt przyjaźnie, gdyż na zakończenie Mistrzostw wręczono tylko medale złote i srebrne (Anglia i Włochy), a my nie zostaliśmy nawet wywołani na podium. Nie mówiąc o wręczeniu jakichś pamiątek czy plaketek. Dzisiaj to rozgoryczenie trochę mi już wywietrzało, a uroczystość na moją cześć w pełni mi rekompensuje brak ówczesnych zaszczytów. Co ciekawe wraz ze Szwedem Per-Olofem Sundelinem jesteśmy jedynymi czynnymi do dziś uczestnikami tych Mistrzostw,



a ja o ile dobrze pamiętam, byłem najmłodszym ich uczestnikiem.

**Ten Wasz sukces odbił się jednak szerokim echem w Polsce i zaowocował także licznymi zaproszeniami z zagranicy.**

Rzeczywiście o brydżu stało się w Polsce głośno, a nawet w porozumieniu z GKK-FiT zaczęto planować zorganizowanie w 1966 roku Mistrzostw Europy w Warszawie. My natomiast zaczęliśmy zwiedzanie Europy. Pospłyły się bowiem zaproszenia na mecze do Skandynawii, Londynu, Norwegii, ale najbardziej utkwiła mi w pamięci wyprawa do Irlandii. Zjechaliśmy ten piękny kraj wzdłuż i wszerz. Codziennie ok. 11-tej, przyjeżdżali po nas do hotelu kilkoma samochodami brydżyści z kolejnego miasta i po godzinnej najwyższej podróży instalowaliśmy się w następnym hotelu. Następowало zwiedzanie miasta i lunch, a potem czas na odpoczynek, który nam się zdecydowanie należał. Bowiem codziennie ok. 18-tej zaczynał się 48 rozdaniowy mecz z miejscową drużyną.

Po 32 rozdaniach, a więc ok. 22-giej następowała obficie zakrapiana uroczysta kolacja, z przemówieniami, toastami, śpiewami, a nawet niekiedy tańcami. Kierownik naszej ekipy wiceprezes PZBS Adam Wojtaś miał na tę okazję przygotowane „gotowce”, czyli świetne toasty po angielsku, przetłumaczone jeszcze w Polsce przez wytrawnego anglistę, skrzące się od dowcipów. Otrzymywał więc rześiste brawa, a my zasiadaliśmy do ostatniej 16-tki w znakomitych humorach. Mecze kończyły się ok. 3-ciej nad ranem, a nazajutrz ten sam schemat. Wygraliśmy oczywiście wysoko wszystkie 10 meczy, bo z naszej strony występowała reprezentacja Polski w składzie

ja z Szurigiem, Wilkosz z Kuklewiczem i Rożecki z Wiśniewskim, a przeciwnicy reprezentowali Cork, Tipperary, Athlone itd.

W tym samym składzie pojechaliśmy w 1964 roku do Nowego Jorku, aby wziąć udział w Olimpiadzie Brydżowej. Ale tam przeciwnicy byli o niebo lepsi, a tym razem polonusi nie dawali nam się wyspać. Przypomnijmy, że do Ameryki prawie nikt z Polski wtedy nie jeździł, więc byliśmy ogromną atrakcją towarzyską i po grze tak wiele osób pragnęło gościć nas na kolacji, że musieliśmy się dzielić na mniejsze grupki, aby sprostać zainteresowaniu.

Nic więc dziwnego, że wynik sportowy nie był tym razem nadzwyczajny. Porównując zatem wyniki z Baden Baden i Nowego Jorku, można dojść do wniosku, że nadmierne zainteresowanie kibiców nie wpływa dobrze na poziom gry (nie dotyczy to zawodników asertywnych, obdarzonych żelazną wolą).

**W następnym roku były równie nieudane Mistrzostwa Europy w Ostendzie i wreszcie z utęsknieniem oczekiwane Mistrzostwa Europy w Warszawie w roku 1966. Wiem, że była to dla Ciebie impreza w pewnym sensie przełomowa.**

To, że przyznano ją Polsce, było ewenementem. Wymagało to wielu starań, zabiegów dyplomatycznych, gwarancji rządowych, ponieważ Polska za żelazną kurtyną jawiła się decydoment EBL może już nie jako okolice Syberii, ale kraj niepewny, z dziwaczными a niezrozumiałymi przepisami dotyczącymi cudzoziemców itp. Na szczęście Prezesem Związku został Edward Strzelecki, wieloletni redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego”, który był dystygowanym panem w średnim wieku, mówił biegle po francusku i aż dziw, że nie poszedł w dyplomację, tylko zajął się sportem. Jego zabiegi zarówno w Polsce jak i w EBL miały ogromne znaczenie dla przyznania nam organizacji.

I stało się! Oczekiwałem tych Mistrzostw z ogromnym podnieceniem. Uwielbiam bowiem imprezy, podczas których presja jest duża, a adrenalina aż buzuje, to mnie mobilizuje. O zakwalifikowanie do reprezentacji nie martwiłem się, bo na krajowym podwórku radziliśmy sobie ze Zbyskiem nadal znakomicie i przed ostatnim kryterium Kadry Narodowej mieliśmy taką przewagę że, jak to się mawia, mogliśmy rzucać karty za siebie. Jednak na parę dni przed tym kryterium Zbyszek zawiadomił mnie, że ma w tym czasie zajęcia na Studiach Zaocznych i zagrać nie może. Może bym i wziął to za dobrą monetę, gdyby nie fakt, że i ja byłem asystentem na tym samym Wydziale, też miałem zajęcia z Zaocznymi i wiedziałem doskonale, jak wygląda sytuacja. Można było te zajęcia przełożyć, można było poprosić kogoś o zastępstwo, a więc krótko mówiąc, był to zwykły wykręt. Powiedziałem więc Zbyszkowi, że ja tego nie przyjmuję do wiadomości i w sobotę rano stawiam się do gry, a jeśli jego nie będzie, to na tym zakończymy wspólną grę. Czekalem, czekałem, ale się nie doczekałem i tak nasze drogi się rozeszły.

Gdy się głębiej nad tym zastanawiam, to czegoś podobnego można było się spodziewać. Po pierwsze zacząłem wyrastać na równorzędnego dla Zbyszka gracza i to go denerwowało, jako że był on przyzwyczajony do relacji mistrz-uczeń. Ale ważniejsze, że Zbyszek źle znosił presję i już przedtem na ważnych Mistrzostwach często „udalał się w boliezn”. Już na początku imprezy się rozchorował i ja musiałem grywać często z innym partnerem. W Nowym Jorku przez jakiś czas grałem pierwszy raz w życiu z Jurkiem Wiśniewskim, a w Ostendzie prawie cały czas z Markiem Kasprakiem, z którym często grywałem w drużynie Juwenii. Zbyszek obawiał się najwyraźniej występu przed polską publicznością i stąd ten unik. Byłem niepocieszony, liczyłem jeszcze na to, że ówczesny kapitan sportowy Bogumił Seifert w uznaniu naszych sportowych zasług powoła nas z Markiem Kasprakiem, ale on trzymał się sztywno wyników kadry i reprezentację utworzyły trzy pierwsze pary



Srebrny medal Seniorów w Lille

tych rozgrywek, a ja na otarcie łez zostałem z Markiem parą rezerwową. Reprezentację stanowili zatem Janusz Nowak-Zdzisław Tyszkiewicz, Stanisław Bitner-Jerzy Stachowicz i Jerzy Elżanowski-Andrzej Olszewski. Mówiąc otwarcie, kiepska to była reprezentacja i taki też był wynik, więc obawiam się, że my z Kasprzakiem też byśmy niewiele pomogli. Ponieważ nic nie wskazywało, że jakaś para się wykruszy, zostałem mianowany pełnomocnikiem PZBS do organizacji Mistrzostw, więc chociaż w tej roli mogłem się wykazać.

Rzeczywiście Mistrzostwa udały się nadzwyczajnie! Piknik w czasie wycieczki do Żelazowej Woli niektórzy uczestnicy wspominają do dzisiaj. Autokary w czasie drogi powrotnej z koncertu zbczyły nieco z szosy, a na leśnej polanie powitały je dziewczęta w ludowych strojach oraz suto zastawione stoły. Orkiestra początkowo grała na ludowo, ale szybko wykazała, że i nowoczesne melodie taneczne nie są im obce. Potem nastąpiło zbratanie poszczególnych uczestników i uczestniczek, a także narodów, gdyż np. Izraelczycy i Libańczycy, którym władze zabraniały grać mecze przeciwko Żydom, tańczyli w jednym kółku.

Po powrocie do Warszawy towarzystwo bynajmniej się nie rozstało, ale co było dalej nie opowiem, bo pełnomocnik nie powinien być plotkarzem. W każdym razie pochwały, gratulacje i komplementy płynęły zewsząd szerokim strumieniem, co bynajmniej nie ukoilo mego bólu. Prawdziwy bowiem gracz gdy widzi, że grają (a on nie gra) i w dodatku partaczą, cierpi!

**Po Zbyszku Szurigu miałeś potem wielu partnerów i z każdym, trzeba Ci to przyznać, dostawałeś się szybko do reprezentacji Polski.**

No tak, ale rozstania, nie były już tak burzliwe. Z Krzysiem Wągorzdzkim dziennikarzem sportowym w „Sportowcu” zacząłem grać zaraz po rozwodzie ze Zbyszkiem i już w 1967 roku zdobyliśmy jako „Polskie Radio” Mistrzostwo Polski w składzie: Elżbieta Klukowska, Jolanta Krogulska, Julian Klukowski, Krzysztof Wągorzdzki, Krzysztof Lisicki, Marek Sobański, a dawna „Juwenia” pod nazwą „Warszawianka” w niezmiennym składzie, jeśli nie liczyć mojej absencji, była dopiero trzecia! Muszę tu dodać, że nie tylko czułem żal do Zbyszka, ale i reszcie drużyny miałem za złe, że nie dość pryncypialnie się zachowali i nie potępiłi jego zachowania. Stąd separacja od „Juwenii” i zmontowanie innej drużyny.



Teraz po blisko 50 latach nie wywołuje to u mnie żadnych emocji, ale wtedy, jak pamiętam, ten złoty medal to był powód do dużej satysfakcji.

**I wreszcie nadszedł rok 1968, w którym spotkała Cię osobista tragedia, gdyż owdowiałeś.**

Moja ówczesna żona Elżbieta, była zdolną brydżystką i często grywałem z nią w turniejach, odnosząc niekiedy sukcesy. Wygraliśmy np. Mistrzostwo Polski Par Mistrzów, a także bardzo prestiżowy ogólnopolski turniej o „O kolumnę Zygmunta”. Ela wraz z Jolą Krogulską stanowiły w latach sześćdziesiątych bezspornie najlepszą polską parą kobietą. Ich wzajemny stosunek przy stole mógł stanowić wzór do naśladowania. Patrzyłem z niedowierzaniem, gdy po jakimś niepowodzeniu pocieszają się nawzajem, szukając z reguły winy w sobie, a rozgrzeszając partnerkę.

Ich największym sukcesem było zdobycie czwartego miejsca na Drużynowych Mistrzostwach Europy Kobiet w Warszawie. Były o włos od medalu, ale niestety w końcówce wyprzedziły je Włoszki - o 1 V.P. Po śmierci Eli próbowałem jeszcze trochę grać w brydża i nawet w 1968 roku wziąłem w parze z Krzysiem Wągorzdzkim udział w Mistrzostwach Europy Juniorów w Pradze (IV miejsce), ale gra przestała mi sprawiać przyjemność, a i na UW „zaczęły się schody” związane z tzw. rotacją. Zwalniano bowiem bez pardonu osoby, które

nie miały otwartego przewodu doktorskiego i w odpowiednim czasie nie zrobiły doktoratu. Przeniosłem się więc na Politechnikę, gdzie te rygory były nieco luźniejsze i tam pod kierunkiem prof. T. Traczyka w 1974 roku obroniłem pracę doktorską. W tym czasie wycofałem się kompletnie z brydża, bo nie potrafiłem połączyć pracy naukowej z wyczynową grą.

**A pamiętasz może tytuł swojej pracy doktorskiej?**

Naturalnie! „Własności pewnych systemów algebraicznych z częściowo uporządkowanymi bazami”. Te „pewne systemy” to były tzw. ortoposety boolowskie, będące uogólnieniem algebr Boole’a. Dalsze wyjaśnianie mija się chyba z celem. Niedawno zmarły prof. Tadeusz Traczyk opiekował się mną troskliwie i dopingował bezustannie, by praca nad doktoratem się posuwała.

**Napisałeś też parę książek, m.in. „Sztuka Wistowania” podręcznik „Algebra dla**

**Studentów”**

O brydżu zawsze pisało mi się łatwo. Prowadziłem zatem kąciki brydżowe w różnych pismach, m.in. w „Kulisach”, „Warsaw Voice”, „Gazecie Wyborczej”, a i dzisiaj pisuję niekiedy do „Świata Bydża”. Brydż jest moim hobby, a wist jest hobby w tym hobby, stąd książka „Sztuka Wistowania”, której motto brzmiało: Pokaż mi, jak wistujesz – powiem Ci, jak grasz w brydża! Książka „Algebra dla Studentów” rodziła się wolniej, bo i temat był poważniejszy. Miała już kilka wydań, nadal jest ceniona, a napisałem ją na podstawie swoich wykładów na Politechnice.

**Obroniłeś się zatem przed rotacją i mogłeś znowu zacząć grać w brydża**

To prawda, że nigdy nie porzuciłem myśli o powrocie. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że mam szansę zostać czołowym polskim brydżystą, a czołowym polskim matematykiem raczej nie! Zacząłem grać znowu z Krzysiem Wągorzdzkim, ale on został w międzyczasie sekretarzem redakcji tygodnika „Sportowiec”. Co to znaczy odpowiadać za wydanie numeru, w którym prawie nikt nie dostacza na czas materiałów, nie muszę nikomu tłumaczyć. Ustawiczne użeranie się z niesfornymi kolegami i częsta konieczność pisania w ostatniej chwili „zapchajdziur”, doprowadziła Krzysia do kompletnego wyczerpania fizycznego i psychicznego. Musieliśmy

zatem zrezygnować ze wspólnej gry. Tu wspomnę o swoim Kierowniku Zakładu prof. Wojciechu Zakowskim, nawiasem mówiąc, ojcu znanego publicyście Jacka Żakowskiego.

Wychodził on z założenia, że jeśli wykładowca może czymś zaimponować studentom, to sprzyja to tylko przyswajaniu przez nich wiedzy. Dlatego też nigdy nie robił mi trudności przy rozlicznych wyjazdach, dawał urlopy okolicznościowe i pozwalał na zastępstwa, a gdy wracałem „z tarczą” zawsze mi gratulował, a w auli wykładowej na tablicy znajdowałem gratulacje od studentów. I całe szczęście, że profesor tak popierał moje aspiracje brydżowe, gdyż wśród czołowych brydżystów popularne było zawołanie: „Jeśli praca przeszkadza Ci w brydżu, rzuć pracę”, więc miałbym kłopot, gdyby miał inny pogląd na te sprawy!

## A więc z Krzysiem Wągradzkim się rozstałeś i co dalej?

Następnie na dwa lata zachłysnąłem się talentem Andrzeja Macieszczaka. Zagrałem z nim w Kongresie Warszawskim i zachwycałem się jego grą. Widział wszystko, jakby znał tę grę na pamięć. Wystąpiłem z nim na Olimpiadzie w 1976 roku, gdzie zajęliśmy 4 miejsce. Reprezentacja była najlepsza z możliwych, bo oprócz nas grali: Marek Kudła-Andrzej Milde i Łukasz Lebioda-Andrzej Wilkosz. Na trzy rundy przed końcem byliśmy na czele i ponieważ rozgrywki odbywały się w Monte Carlo, dość prawdopodobna była ewentualność spożycia uroczystej kolacji przy jednym stole z księżną Grace Kelly i jej małżonkiem. Taka bowiem atrakcja czekała na medalistów Olimpiady.

Ufni w swe siły udaliśmy się więc do wypożyczalni smokingów i zarezerwowaliśmy odpowiednie „anzugi”. Ale los, a właściwie Św. Piątek, bywa złośliwy. Zdołaliśmy roztrwonić przewagę i na bankiecie siedzieliśmy załamanymi w kącie w naszych letnich marynareczkach! Z Andrzejem wystąpiliśmy jeszcze raz w 1977 roku w Mistrzostwach Europy w Elsinore (Dania), ale bez powodzenia. Był to już okres, kiedy samopoczucie miał on coraz to gorsze i tylko chwilami odzyskiwał wigor.

Niedługo potem rozstaliśmy się bez urazy i zacząłem trenować z Olkiem Jezioro. Trenować to za mocno powiedziane, bo trenowaliśmy jedynie wspólną grę, ale nie system. Olek wyznawał zasadę, że im mniej ustaleń tym lepiej. Gdy się widzi te setki nieporozumień graczy, którzy używają skomplikowanych konwencji, to nie sposób zaprzeczyć, że jakieś ziarnko prawdy w tym jest. Ustaliliśmy więc, że gramy Blackwoodem, a po 1 bez atu Staymanem i hajda do gry! Musieliśmy się eliminować, poczynając od kadry rejonowej, ale ostatecznie udało się zakwalifikować do reprezentacji na ME 1981, które odbywały się w Birmingham. Do reprezentacji zakwalifikowali się wtedy po raz



Brązowy medal na Bermuda Bowl Perth (Australia) 1989 r.

pierwszy stosunkowo młodzi, bo zaledwie ok. trzydziestki mający Krzysztof Martens i Tomasz Przybora. Oprócz nich grali jeszcze „weterani”, pod względem stażu, bo nie wieku, Marek Kudła i Andrzej Milde. W Birmingham cała nasza reprezentacja grała jak z nut, więc stosowaliśmy regularną rotację występujących par.

I tak para, wchodząca na boisko po przerwie, spotykała w połowie drogi na rozgrywki zawodników schodzących i prawie zawsze słyszała komunikat: idziecie na dożynki! Tym sposobem już na dwie rundy przed końcem zapewnił sobie zwycięstwo, co zresztą było powodem licznych pretensji, a to że zbyt szybko staramy w meczu z Izraelem (Rixi Markus), a to że podkładamy się Anglikom (Francuzi). Nie specjalnie się tym przejmowaliśmy, a ja byłem w siódmym niebie, bo nie dość, że czego się dotknęliśmy, to wychodziło,



to jeszcze codziennie odwiedzałem ogromny magazyn należący do sieci „Mothercare” i kupowałem dziecięce ciuszki i inne akcesoria. Za miesiąc bowiem moja druga żona Grażynka miała urodzić dziecko, a w Polsce, jak może niektórzy pamiętać, na jesieni 1981 roku na półkach sklepowych królował głównie ocet, a buty były na kartki.

Obładowany więc dodatkową walizką tryumfalnie wróciłem do Polski i niebawem stałem się szczęśliwym ojcem córeczki Ani. Niedługo potem urodziła nam się druga córka Julia i dzisiaj mogę się już cieszyć z dwumiesięcznego wnuka (to zasługa Ani) i na razie in spe wnuczki, której spodziewa się Julia. Jako Mistrzowie Europy zdążyliśmy jeszcze polecieć do Port Chester w Ameryce, gdzie odbywał się Bermuda Bowl i zdobyliśmy brązowy medal. Tam z Olkiem przekonaliśmy się, że nie zawsze jest Świętego Jana i nie mamy tej gry na własność, gdyż zupełnie odwrotnie niż w Birmingham co byśmy nie zrobili, szczególnie w półfinale z Amerykanami, to było źle! Niebawem w Polsce ogłoszono stan wojenny i postawiono na jakiś czas szlaban na wszelkie wyjazdy.

Z Olkiem grałem jeszcze parę lat, ale już nigdy takiego furtu jak w Birmingham nie zanotowaliśmy. Mieliśmy jeszcze kilka sukcesów, ale z upływem lat nasza gra podupadała, a więc w końcu się rozstaliśmy, a ja zacząłem się rozglądać za nowym partnerem.

## Zauważyłem, że z każdym nowym partnerem kwalifikowałeś się do reprezentacji. Czy i tym razem tak było?

To jest bardzo ważne, by dobrze się z partnerem dobrac zarówno pod względem siły gry, jak i charakteru. A równie ważne jest by, gdy widać, że pozytywna energia już się wyczerpała, nie ciągnąć tego na siłę w nieskończoność i bez zbędnych wahań się roz-

stać. To pozwala zachować stale pewną świeżość i motywację do gry. A teraz opowiem, jak znalazłem nowego partnera. Nie musiałem daleko szukać, bo na warszawskim Ursynowie mieliśmy uroczych sąsiadów pp. Ulę i Krzysia Moszczyńskich, z którymi się szybko zaprzyjaźniliśmy. Mieli oni wtedy już troje dzieci w wieku naszych córek (później doszło i czwarte) i postanowiliśmy razem spędzić wakacje. Pojechaliliśmy więc na Mazury, gdzie wynajęliśmy dwa domki nad jeziorem i choć wszystko niby grało, zaczęliśmy się z Krzysiem zastanawiać co począć z tak mile zaczęłym urlopem.



Zwiedzanie Brazylii - Maracana, srebrny medal na Senior Bermuda Bowl Sao Paulo 2009 r.

Na szczęście wiadomo było, że Krzys, choć aktualnie nieczynny brydżowo, z tą grą miał już do czynienia, a nawet był wraz z Piotrem Gawrysiem w 1976 roku Mistrzem Europy Juniorów. Znaleźliśmy więc zajęcie na długie, letnie wieczory. Grać co prawda nie było z kim (nasze żony to cywile), ale dla rozrywki zaczęliśmy omawiać system, którym ewentualnie można by grać. Krzys był pod tym względem przeciwieństwem Olka Jezioro. Uważał bowiem, że podstawą dobrych wyników jest licytacja, bo największe straty i zyski mogą się zdarzyć właśnie w licytacji. Krzys jest matematykiem, więc do tematu podchodził metodycznie i do znudzenia czelowaliśmy poszczególne sekwencje, ale sprawdzić systemu w praktyce nie mieliśmy okazji.

Po wakacjach, gdy wróciliśmy do Warszawy, spróbaliśmy jednak raz i drugi zagrać w turnieju i wyniki zaczęły być obiecujące. Np. w 1985 roku wygraliśmy ogromny (ok. 600 par) turniej w Juan Les Pins. Do reprezentacji w 1987 roku dostaliśmy się trochę tylnymi drzwiami, gdyż czwórka, która wygrała eliminacje kadrowe: Stefan Doroszewicz-Andrzej Zawada i Piotr Bizoń-Andrzej Wilkosz zarekomendowała nas jako trzecią parę, a kapitanat przychylił się do ich opinii. W Brighton byliśmy o krok od medalu, ale skończyło się na czwartym miejscu. Jednak na Mistrzostwa Europy w Turku 1989 (Finlandia) zakwalifikowaliśmy się już bezpośrednio i zdobyliśmy tam złoto w składzie: ja z Krzysiem, Krzysztof Martens-Marek Szymanowski i „młodzi” Cezary Balicki-Adam Żmudziński. Potem nastąpiła wyprawa do Perth w Australii, gdzie odbył się kolejny Bermuda Bowl. Znakomicie nam się tam z Krzysiem grało, a mecz półfinałowy z Brazylią wspominam do dzisiaj jako mecz niespełnionych nadziei. Graliśmy stale przeciwko parze Chagas-Branco i ciągle nam się wydawało, że już ich ugryźliśmy, ale wynik ani drgnął. Przegraliśmy w końcu ten długi mecz stosunkowo nieznacznie, ale na pewno pokazali-

śmy z Krzysiem grę najlepszą w ciągu naszej wspólnej kariery.

W meczu o brąz pokonaliśmy Argentynę i pocieszaliśmy się, że brązowy medal, to jednak jest medal. Mecz o trzecie miejsce był o wiele krótszy od finału, co pozwoliło nam zwiedzić nieco Australię. Niezapomniana była wyprawa „o krok”, bo tylko do odległego o 250 km parku narodowego.



Towarzystwo Seniorów powstałe w 2000 r. Złoty medal na szyi Juliana Klukowskiego za Senior Bermuda Bowl 2000

Na ogół rzadko nam się udawało coś zobaczyć w czasie naszych podróży, bowiem ograniczaliśmy się do zwiedzania lotnisk, pokoi hotelowych i zielonych stolików. Dobrze to oddał Ryszard Szurkowski w jednym z wywiadów: „Jeździł Pan przez wiele lat z kolarskim peletonem, zwiedził Pan dziesiątki krajów, kilka kontynentów, tyle Pan widział. Co Pan najbardziej zapamiętał?” Odpowiedź brzmiała: „Przednie koło”.

**Wkrótce, jak oznajmiła zniecacka w Telewizji znana aktorka Joanna Szczepkowska, „W Polsce skończył się komunizm” i nastał Balcerowicz.**

Zrewolucjonizował on kurs dolara w Polsce, którego dotychczasowa księżycowa siła nabywcza spadła siedmiokrotnie i to co było atrakcją dla wielu brydżystów minęło bezpowrotnie. Dotychczas bowiem paszporty sportowe umożliwiały kupno biletów samolotowych za złotówki i podróż do najdalszego zakątka Europy kosztowała najwyżej równowartość 30 dolarów, a każda wygrana w turnieju na Zachodzie to była z kolei równowartość wielu naszych pensji w Polsce.

Gdy wraz z Krzysiem wygraliśmy kiedyś w turnieju „Molexa” w Paryżu po 2000 dolarów na głowę, to staliśmy się krezusami (była to równowartość moich siedmioletnich zarobków na Politechnice i nawet po opłaceniu haraczu dla Centralnego Ośrodka Sportu sporo nam zostało). Powinienem zatem zadać przewrotne pytanie: „I komu to przeszkadzało?” Oczywiście żartuję, gdyż taka polityka ekonomiczna, która pozwalała nam w 1989 roku całą rodziną spędzić 5 tygodni wakacji w Ośrodku Górniczym w Krynicy Morskiej za 100 dolarów, musiała prowadzić do bankructwa kraju. Ale bezlitosne dla nas

fakty były takie, że bilet lotniczy zamiast 30 dolarów, kosztował teraz 300, a nagrody przestały być szczególnie atrakcyjne.

Stąd zaczął się i w Polsce brydż sponsorowany, który na Zachodzie, a szczególnie w USA już od dawna miał się dobrze. Ja niepostrzeżenie przeszedłem do kategorii seniorów, która początkowo zaczynała się od 50 lat, pod warunkiem, że para miała w sumie 110.

Początkowo grywałem w drużynie Stefana Szenberga z Mediolanu (jej żelaznym uczestnikiem był przede wszystkim



I would like to introduce dr Ragg - AWF 1990 r.

Andrzej Wilkosz, a oprócz niego w różnych okresach Olek Jezioro, Janusz Połec, Jerzy Russyan, Włodzimierz Wala i Wit Klapper).

Od 2000 roku znalazłem się natomiast w Towarzystwie Seniorów założonym i finansowanym przez Witka Markowicza, mieszkającego w USA. Pierwszymi członkami Towarzystwa byli oprócz Wicia i mnie Salek Zeligman i Walter Niran z Izraela, Wiktor Melman z USA, Aldek Ramer z Holandii, wszyscy pochodzący z Polski, a potem doszli także Olek Jezioro i Jurek Zaremba. Zarówno Szenberg jak i Markowicz lubią brydża, a że szczęśliwie są ludźmi zamożnymi, mogą sobie pozwolić na subsydiowanie swoich drużyn. Witek sponsoruje także reprezentację Polski seniorów, która grywa z reguły w składzie: ja z Wiciem, Apolinary Kowalski-Jacek Romański i Krzysztof Lasocki-Jerzy Russyan. Moja rezygnacja ze startów w open i przejście do kategorii seniorów była także spowodowana faktem, że mój ostatni i ulubiony partner Krzys Moszczyński wycofał się z brydża po 1990 roku. Na seniora był za młody, a gra w open wymagała wielu wyrzeczeń (m.in. natychmiast zapadał na zapalenie spojówek od dymu papierosowego, a wtedy jeszcze wolno było palić przy stole). Dochodów natomiast z gry nie było żadnych.

W kategorii seniorów wiedzie mi się doskonale i zdobyłem do tej pory znaczną liczbę medali na Mistrzostwach Europy i Świata i już dawno wysforowałem się na czoło klasyfikacji światowej prowadzonej przez WBF. Warto też dodać, że drugie miejsce w tej klasyfikacji zajmuje mój obecny partner Wicio Markowicz. Ta gra w sponsorowanym teamie nie oznacza bynajmniej, że stałem się zawodowcem i że gra w brydża stanowi źródło mojego utrzymania.

### **Ale jednak brydż miał ogromny wpływ na Twoje życie!**

To prawda, a wszystko zaczęło się niewinnie, gdy poznałem pasjonata „brydża”

Erwina Kuczkę, „brydża”, gdyż tak nazywał naszą piękną grę. Był on Prezesem Spółdzielni „Sztuka” i organizował partyjki wśród jej członków, a od pewnego czasu zaczęły się one odbywać w naszym wynajętym mieszkaniu na Ursynowie. Grywali w nich: skrzypek Grześ Rezler, pieśniarz Przemysław Gintrowski, aktor Wojciech Machnicki i wielu innych. Ponieważ w stanie wojennym obowiązywała godzina milicyjna, gdy zasiedzieliśmy się do jedenastej, trzeba było grać aż do rana! Pod koniec wszyscy uczestnicy mieli już dość, a abstynent Gintrowski, który przy tym całkiem dobrze grał, podliczał kasę, na szczęście niedużą, bo stawki były symboliczne.

Okazało się wkrótce, że mamy z żoną możliwość przystąpienia do Spółdzielni „Sztuka”, co skwapliwie uczyniliśmy, mimo że nadzieje na uzyskanie jakiejś lokalizacji były nikłe. A jednak po latach okazało się, że artyści, których mobilizował Erwin, wychodzili „na małą” u władz warszawskich dzierżawę wieczystą działki pod budownictwo jednorodzinne. Właśnie zaczęto wylewać fundamenty pod nasz wymarzony dom, gdy okazało się, że zgromadzone przez lata oszczędności nie wystarczą nawet na piwnice.

Wspomniałem bowiem już, że reforma Balcerowicza urealniła kurs dolara i nasze fundusze stopniały siedmiokrotnie. Cóż więc było począć? Z „pracy rąk” na Politechnice domu nie wybuduję, na dochody z brydża nie mogę już liczyć, więc myślałem intensywnie, czym by się zająć, by móc zarabiać jakieś pieniądze. I wpadłem na pomysł, że może by zająć się sprzedażą kart Piatnika. Najpierw przedstawiłem więc w wiedeńskiej centrali swoje CV, w którym opisałem dwukrotne zdobycie Mistrzostwa Europy, posłałem wycinki rubryk brydżowych, które prowadziłem, napisałem o chęci współpracy i chwyciło.

Główny właściciel i szef Piatnika dr Ragg zaufał mi i zgodził się sprzedać pierwszą partię kart i to na kredyt! Z pracy na Politechnice

nie zrezygnowałem, ale założyłem działalność gospodarczą i zaczęliśmy wraz z Grażynką handlować! Jednocześnie przez dwa miesiące brałem codziennie lekcje angielskiego, bowiem dr Ragg wybierał się do Polski zobaczyć, jak sobie radzę. Oczywiście znałem już jako tako angielski, ale co innego zapytać, co znaczy dana odżywka, a co innego rozmawiać o interesach. Wizyta dr Ragga w Polsce zakończyła się pełnym sukcesem, a jej ukoronowaniem było powitanie go na wielkim turnieju w hali AZS na Bielanach, gdzie dostał „standing ovation”. Zorganizowałem tam stoisko, w którym hostesami były dwie młodziki, śliczne i niemal jednokowe bliźniaczki, córki aktorskiego małżeństwa Basi Sołtysik i Janka Englerta.

Tu wtrąć dygresję: naszemu przyjacielowi Andrzejowi Zaorskiemu urodziły się w dwa tygodnie po Englertównych również bliźniaczki, tyle że dwujajowe. Andrzej chodził więc po Warszawie i tak komentował ten fakt: „Nie wiem jak Englert, ale ja mam dwa jaja”. Ale wracając do stoiska, nasze identyczne bliźniaczki ubrały się przezabawnie, bo na waleta: Jedna miała spodnicę od jednego kompletu, a żakiet od drugiego, a druga bliźniaczka na odwrót. Aldek Ramer przywiózł z Holandii ekipę juniorów, którzy oblegali nasze stoisko, próbując podrywać dziewczęta. Ponieważ jednak nie miały one jeszcze 18 lat, moja Grażka miała pieczę, by nikt ich na pokuszenie nie wodził. Tak zresztą solennie obiecaliśmy rodzicom.

Dr Ragg wystąpił też w telewizji, otworzył nowo utworzone przez nas Centrum Piatnika na Senatorskiej i był tak zachwycony przyjęciem w Polsce, że darował mi nawet pół zapłaty za tę pierwszą partię kart. Nasza dalsza współpraca potoczyła się harmonijnie, firma się rozwijała, dom został wybudowany, a po latach stałem się wyłącznym przedstawicielem Piatnika w Polsce.

W 2010 roku włączyłem do firmy moją córkę Julię i zięcia, założyliśmy spółkę „J. Klukowski, J. i Ł. Wilczyński” i nadal idzie nam nieźle. Tzn. prawdę powiedziawszy im, bo ja od półtora roku wycofałem się z czynnej działalności i uplasowałem na pozycji doradcy. W końcu pracowałem przez wiele lat na dwóch posadach (Politechnika i Piatnik), mam już swoje lata i należy mi się wreszcie emerytura!

Jak z tej opowieści wynika, wprawdzie pośrednio, ale dzięki grze w brydża, mamy z żoną gdzie mieszkać i z czego żyć, więc można powiedzieć, że brydż ustawił całe nasze życie, czego i Wam, którzy to czytają, życzę. Hugo Steinhaus, wybitny matematyk XX wieku, założyciel tzw. Szkoły Lwowskiej (Banach, Mazur, Orlicz i inni), był autorem wielu zabawnych aforyzmów. Jeden z nich chciałbym tu przytoczyć: „Matematyk robi to lepiej”.